



# Samorządna Rzeczpospolita 40 lat później

## Samorządna Rzeczpospolita – historia pewnego marzenia

### Edwin Bendyk

*Samorządna Rzeczpospolita* to najkrótsza z możliwych definicja ustroju dla Polski, jaką sformułował NSZZ „Solidarność” podczas swojego I Zjazdu w 1981 roku. Efektem prac delegatów był dokument programowy uchwalony 7 października. Tekst przyjęty przez związek zawodowy zdumiewa, bo choć nie brakuje w nim też odnoszących się do spraw pracowniczych, to jest on całościowym projektem przedstawiającym pomysł na Polskę, wyrażnie konkurującym z wizją podtrzymywaną przez władze PRL-u i strzegącą swej politycznej hegemonii Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą.

„Solidarność”, jak dobrze wiemy, wyrastała poza formułę związku zawodowego. Była wielkim ruchem, syntezą powstania narodowego, robotniczego zrywu oraz masowego ruchu społecznego (tak fenomen „Solidarności” opisywał jeden z jej pierwszych badaczy, francuski socjolog Alain Touraine) i z tego powodu rościła sobie prawo do wypowiedzania się w roli rzeczniczki interesu ogólnego, a nie tylko kwestii pracowniczych.

Edwin Bendyk  
Elżbieta Ciżewska-Martyńska  
Marta Dzido  
Ewa Graczyk  
Leszek Jażdżewski  
Piotr Kaszczyszyn  
Agnieszka Kwiatkowska  
Wojciech Przybylski  
Szymon Rębowski  
Jan Sowa

Program przyjęty na I Zjeździe jest świadectwem epoki – powstał w kontekście głębokiego kryzysu społeczno-gospodarczego i jest też próbą konkretnej odpowiedzi na wyzwania tamtego czasu. Spoza doraźnych propozycji, jak postulat racjonowania żywności, wyłaniają się jednak rekomendacje systemowe składające się na wizję alternatywy wobec reżimu PRL-u. Wizja ta jest niezwykle ciekawym świadectwem wyobraźni, które warto uważnie odczytać 40 lat po jego ogłoszeniu.

Do próby takiej lektury zaprosiliśmy grono myślicielek i myślicieli różnych opcji ideowych. Czy program „Solidarności” sprzed czterech dekad zachował jeszcze jakąkolwiek aktualność, czy też jest już jedynie dokumentem historycznym, godnym szacunku, ale anachronicznym? Zamiast odpowiedzi proponuję zwrócić uwagę na jeden z rozdziałów, zatytułowany *Samorządna Rzeczpospolita*. Jego autorzy przedstawiają wizję ustroju Polski, którego podstawą jest społeczna autonomia polegająca na organizacji większości sfer życia w oparciu o energię społecznej samoorganizacji, wyrażającą się w strukturach samorządu pracowniczego, zawodowego, terytorialnego oraz społecznej (nie państwowej) kontroli nad środkami produkcji i takimi sferami życia, jak oświata i kultura.

To wizja, której źródła można szukać w myśli anarchosyndykalistycznej, niechętnie patrzącej na zbyt silne, scentralizowane państwo. Nie można jednak nie dostrzec inspiracji społeczną nauką Kościoła, promującą zasadę pomocniczości. Mówi ona, że nie powinno się zastępować podstawowych wspólnot w zarządzaniu swoim rozwojem, o ile zadania nie przekraczają ich zasobów i możliwości. Projekt *Samorządnej Rzeczypospolitej* był odpowiedzią na autorytarne, scentralizowane państwo, próbujące podporządkować sobie życie społeczne we wszystkich jego wymiarach.

Po 1989 roku, kiedy owo aspirujące do wszechmocy państwo rozsypało się, projekt *Samorządnej Rzeczypospolitej* został zrealizowany tylko częściowo. Najbardziej konsekwentnie w wymiarze terytorialnym – decentralizacja systemu władzy publicznej, zasada pomocniczości i samorząd lokalny stały się podstawą ustroju III Rzeczypospolitej, co znalazło jednoznaczny wyraz najpierw w ustawie o samorządzie gminnym z 1990 roku, a następnie w Konstytucji, przyjętej na drodze referendum w 1997 roku, i w kolejnym etapie reformy samorządowej z 1998 roku.

Kluczowa w projekcie *Samorządnej Rzeczypospolitej* wizja samorządu pracowniczego i uspołecznienia środków produkcji przegrała jednak z kapitalizmem oraz z wolnorynkowym ustrojem gospodarczym. Jak tłumaczył wiele lat później filozof Charles Taylor, zasada solidarności musiała ustąpić zasadzie ekonomicznej efektywności.

Czy rzeczywiście musiała? Największą efektywnością mogą się pochwalić gospodarki o najwyższym stopniu uspołecznienia, z silnymi strukturami samorządu pracowniczego. Austria, Niemcy czy kraje skandynawskie rozstrzygnęły problem wskazany przez Taylora, pokazując, że efektywność i solidarność nie tworzą alternatywy, lecz koniunkcję.

Projekt *Samorządnej Rzeczypospolitej* przewidywał też likwidację monopolu państwa w sferze kultury i edukacji oraz powierzenie kształtowania polityki w tych obszarach ciałom społecznemu, a nie politykom.

Warto przypomnieć te propozycje sprzed 40 lat, bo są radykalnym przeciwieństwem wizji Polski realizowanej od 2015 roku przez rząd Zjednoczonej Prawicy. Recentralizacja państwa, pozbawianie samorządu terytorialnego kompetencji i niezależności finansowej, podporządkowanie systemu oświaty centralnemu zarządzaniu politycznemu – to wszystko przypomina próbę rekonstrukcji ustroju zgodnie

z obowiązującą w PRL-u zasadą jednolitego systemu władzy państwowej. Nie sposób się w nich dopatrzeć poszanowania dla zasady pomocniczości i samorządności.

Lektura programu NSZZ „Solidarność” przyjętego przed 40 laty 7 października 1981 roku skłania do zadumy. Historyczny już tekst pokazuje odwagę wyobraźni jego autorów i delegatów na I Zjazd, którzy program ów przyjęli. Zapewne niewielu z nich wierzyło, że doczekają się choćby częściowej realizacji wizji *Samorządnej Rzeczypospolitej*. A na pewno nikt nie wyobrażał sobie, że gdy już *Samorządna Rzeczpospolita* powstanie, jakkolwiek niedoskonała, to dozna ataku i próby demontażu ze strony formacji politycznej przekonującej, że jest jedyną depozytariuszką „prawdziwego” dziedzictwa „Solidarności”.

**Edwin Bendyk** (ur. 1965) – prezes Fundacji im. Stefana Batorego. Dziennikarz, publicysta i pisarz, do niedawna kierował działem naukowym tygodnika „Polityka”. Wykłada w Graduate School for Social Research PAN i Collegium Civitas, gdzie współtworzył Ośrodek Badań nad Przyszłością.

## Gdzie jest sprawczość? Kilka pytań, parę nakłuc

### Ewa Graczyk

Kiedy czytam program NSZZ „Solidarności” uchwalony przez I Krajowy Zjazd Delegatów, w pierwszym momencie mam poczucie, że nic się z niego nie zachowało. Program stawia postulaty i żądania, które w tamtym momencie nie zostały zrealizowane i nie były możliwe do spełnienia. Półtora miesiąca później wprowadzono stan wojenny – i choć program samorządowy Polski po 1989 roku przyjął część postulatów I Zjazdu „Solidarności” z października 1981 roku, to jednak dopiero nowe okoliczności społeczne i ekonomiczne umożliwiły ich ponowne pojawienie się i funkcjonowanie. Jak możemy się domyślić, znaczą one coś z gruntu odmiennego w innym ustroju państwa i w nowym ustawodawstwie.

Ale czytam te postulaty i jestem wzruszona. Ustawodawca dba i martwi się zarówno o poszczególne osoby, jak i o całe społeczeństwo, chce, aby realizowały swoje potrzeby i dobrze się czuły w nowych warunkach. Postrzega je jako pracowników i obywateli (autorzy używają formy męskiej jako „uniwersalnej” – związkowi delegaci nie dostrzegali wtedy *genderu*). Czasem to wybieg i kamuflaż. Związek to przecież wielki ruch społeczny, polityczny, o heterogenicznych celach. Ale dziś z naszej perspektywy (po wielu transformacyjnych doświadczeniach), w październiku 2021 roku, cieszę się bardzo, że ustawodawcy rozumują w kategoriach pracowniczych: jaka to wielka ulga nie czytać w kółko o przedsiębiorczości.

Ten program to zapis utopijnego epizodu, gdy Związek był potężny i wydawało się, że mógł projektować polską przyszłość, więc w programie I Zjazdu Związek wyrażał/zakładał swoje prawo do decydowania o niej.

Czy było to naiwne i iluzoryczne? Albo raczej: czy było to tylko naiwne i iluzoryczne – przypominam, że wprowadzenie stanu wojennego wydawało się już wtedy przesądzone.

Kiedy czytam ten dokument dzisiaj, uświadamiam sobie, jak niejednoznaczne i skomplikowane jest doświadczenie nie/sprawczości mieszkanki i mieszkańca naszego kraju, od 1945 roku aż do teraz. Z jak wielu nieoczywistych epizodów i pasm – działania i niedziałania, niewoli i wolności, paraliżu i aktywności, snu i jawy – składa się w ścisły, nierozzerwalny sposób.

Puśćmy na chwilę w ruch historycznego *zooma*, zróbmy kilka przybliżeń i oddaleń.

## 1

Lata od 1944 roku do października 1956 to czas totalitarnego zniewolenia, stalinowskiej propagandy i zbrodni politycznych. Ale to także czas, gdy miliony osób z ludu odbudowywały i modernizowały kraj, to walka z analfabetyzmem, to okres reformy rolnej. To ważny moment w losach emancypacji kobiet, uwolnienie się dużej części z nich/nas (zwłaszcza gdy przenosiły się ze wsi na budowy wielkich miast) spod wpływu konserwatywnego wiejskiego i małomiasteczkowego otoczenia oraz Kościoła.

W powojennej Polsce (wbrew innym krajom z tzw. demoludów) polscy chłopcy nigdy nie utracili prawa do własności, zachowali i uzyskali ziemię na własność, a duża część z nich żyła z niej i na niej życiem samodzielnym, choć, z drugiej strony, spowolnionym i rudymmentarnym. Czy można powiedzieć, że tamci w większości kilkuhektarowi chłopcy wpadali w pułapkę życia zamrożonego, na wiele lat prawie nieruchomego, bez głodu i biedy, ale też bez większych perspektyw rozwoju? Z jednej strony tak, a z drugiej – nie. Wiemy przecież, że gdyby większość z nich runęła do miast, nie byłoby dla nich pracy, a ich życie na wsi na kilku hektarach obchodziło problem bezrobocia (czy, delikatniej mówiąc, ze względów ekonomicznych nie całkiem racjonalnego zatrudnienia).

Z kolei w dużych miastach industrializacja przeprowadzana w ramach swoistej autarkii gospodarczej krajów sfery sowieckiej wytwarzała produkty przemysłowe, które mogły być sprzedane w tutejszej przestrzeni niewysokich wymagań, ale poza realsocjalistycznym kręgiem już raczej nie.

Egzystencja za żelazną kurtyną była więc niewolą i ochroną: byliśmy niczym dzieci, traktowane z pewną dozą pobłażliwości zarówno przez własnych „Onych”, jak i polityków pierwszego świata.

A z drugiej strony – zdarzało się, zwłaszcza w czasie dość długiego oddechu popaździernikowego, że enklawy inteligentki, artystyczne i intelektualne (potem opozycyjne) prowadziły aktywność w znaczący sposób innowacyjną i dorosłą. Przypomnę na przykład: gdy Alina Szapocznikow wyjechała na Zachód, ze zdumieniem odkryła, że prestiż artystki możliwy w PRL-u jest nie do zdobycia w zachodniej Europie. A czołowe polskie himalaistki nie mogły się nadziwić, jak bardzo ich francuskie czy włoskie koleżanki są podporządkowane męskim wspinaczom.

Ale gdyby nie PRL, to co? Prześladowała mnie kiedyś wizja, że alternatywna Polska (bez Sowietów) na wiele dziesięcioleci staje się krajem rządzonym przez jakiegoś półfaszystowskiego dyktatora ze współudziałem miejscowego kleru (coś jak Portugalia Antónia de Oliveira Salazara): taką drogę rozwoju/zastoju wskazują przecież pogrom kielecki i inne powojenne zbrodnie wobec Żydów (przede wszystkim, choć nie tylko).

Od 1956 aż do 1980 roku mniej więcej co 10 lat (najpierw co kilkanaście, a potem kilka) pojawiały się wydarzenia, które burzyły spokój autorytarnego państwa i społeczeństwa. Co pewien czas jakaś część zbiorowości buntowała się i błyskawicznie odnajdywała oraz wzmacniała swoich przywódców rebelii – Lechosława Goździka, Edmunda Bałukę, Lecha Wałęsę – wraz z którymi zrywała się do gwałtownego (i krótkiego) lotu.

Działo się tak aż do chwili, gdy 16 miesięcy karnawału „Solidarności” nie pozwoliło już odtworzyć pe-relewskiego rytmu. A po wprowadzeniu stanu wojennego, po ośmiu latach wegetacji oraz gnicia (społecznego i ekonomicznego), któremu towarzyszył jednak niezwykły (i niejednoznaczny) fenomen podziemnej „Solidarności” (a także duża fala emigracji), doszło do dziwnego pata, który zakończył się obradami okrągłego stołu i wyborami 4 czerwca 1989 roku.

## 2

Wielu historyków współczesności opowiada nasze powojenne dzieje w taki oto sposób, że wielka Historia w postaci potężnego Związku Radzieckiego przesądzała właściwie o wszystkim. Po śmierci Stalina i rewelacjach Chruszczowa możliwa stała się w Polsce odwilż październikowa w 1956 roku, Breżniew wymusił w 1981 roku wprowadzenie stanu wojennego groźbami sowieckiej interwencji, a *periestrojka* Gorbaczowa umożliwiła reformy, które doprowadziły do transformacji w Polsce w 1989 roku. W tego rodzaju wizji silni decydują o losie słabych prawie bez reszty, a sprawczość zależnych nie ma właściwie znaczenia. Lokalni buntownicy świecą światłem odbitym, mają tylko względną wartość wewnątrz nie-autonomicznych krajów (takich jak PRL), a tak naprawdę decydują mocarstwa i mechanizmy wielkiej Historii.

Co ciekawe, gdy czytałam *Doktrynę szoku* Naomi Klein (2007), odnalazłam w jej książce właściwie ten sam schemat, co u sowietologów: w opowieści autorki neoliberalni najeźdźcy spadli na bezbronne kraje, takie jak Chile i Polska, chcąc narzucić im złowieszczy porządek. Kiedy czyta się *Doktrynę*, ma się wrażenie, że wszystko poszło gładko, a agresorzy nie natrafili na żadne przeszkody. Autorka przydziela najechanym tubylcom rolę bezbronnych ofiar napaści, a to powoduje, że nie czuje żadnej potrzeby, aby zwrócić na nich (na nas) uwagę. Chociaż Klein jest pełna współczucia i walczy z niesprawiedliwością, to my, ofiary, nie istniejemy dla niej naprawdę (przynajmniej w tej opowieści).

Nie czepiam się obrazu neoliberalnej inwazji, wiem również, że uwarunkowania geopolityczne są czymś straszliwie realnym, zasadniczo Klein (a nawet sowietolodzy) mnie przekonuje, sprzeciw budzi natomiast obraz bezradnych ofiar, a zwłaszcza to, że nie warto rzucić na nie okiem ani ich posłuchać. Bo wiemy przecież na pewno, że „lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach”. Lawina może być sowiecka czy neoliberalna, za każdym jednak razem kamieniste podłoże powinno stawiać opór. Jaka jest skuteczność jednego sprzeciwu, a jaka drugiego – to inna sprawa (trudno nie zauważyć, że z Sowietami szło nam lepiej).

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden wymiar splotu paraliżu i aktywności (snu i przytomności): Ewa Bińczyk i inni badacze katastrofy klimatycznej często powtarzają, że nigdy ludzkość nie była zarazem tak wszechmocna i bezradna jak dziś, gdy podejmuje się (a zwłaszcza gdy się ich nie podejmuje) decyzje gospodarcze i polityczne wobec Ziemiobójstwa.

### 3

Tak się złożyło, że w momencie, gdy zaproponowano mi napisanie tego tekstu, czytałam akurat *Polskę Ludową* – długą rozmowę pomiędzy Karolem Modzelewskim i Andrzejem Werblanem prowadzoną przez Roberta Walenciaka (2017) – i ta lektura zetknęła się w mojej głowie z lekturą *Samorządnej Rzeczypospolitej*.

W centrum uwagi dwóch rozmówców Walenciaka znajduje się sprawczość. Andrzej Werblan (nigdy nie sądziłam, że z własnej woli będę czytać wypowiedzi niegdysiejszego kierownika wydziału propagandy KC PZPR) dopatruje się mocy sprawczych tradycyjnie, u góry, w tym wypadku u partyjnych pierwszych sekretarzy (i ich najbliższego otoczenia). W analizowanych przez siebie zdarzeniach często doszukuje się spisków i niejawnych interwencji agenturalnych. Z drugiej jednak strony – interesująco dowodzi, że zasadniczo nieautonomiczna sfera działań i decyzji peerelowskich polityków była jednak znacznie większa, niż można by przypuszczać – nawet za życia Stalina.

Po przeciwnej stronie barykady (i struktur władzy) – Karol Modzelewski z ogromnym uporem poszukuje mężczyzn, którzy stawali się przez chwilę (tylko w przypadku Wałęsy nieco dłuższą) ludowymi twórcami historii. Lewicowy polityk (i znakomity mediewista) ciągle roztrząsa, jakie czynniki stwarzają rewolucyjnych trybunów – co sprawia, że w burzliwych okolicznościach historii stają oni na czele zbuntowanego tłumu.

Co ciekawe, nieustannie powraca u Modzelewskiego motyw dobrego samopoczucia potencjalnych i realnych przywódców. To ono sprawia, że niektórzy, niekiedy momentalnie i od razu, odnajdują się w politycznym działaniu, nawiązując żywy, przywódczy dialog z ludowymi masami. Warto zwrócić uwagę, że dobre samopoczucie, które widzi Modzelewski, to nie żadne konsumenckie „szczęście”, nie chodzi o to, „żeby być kochaną w Paryżu”. Bohaterowie – Lechosław Goździk, Anna Walentynowicz, Lech Wałęsa – poruszają się (przez chwilę) w owocnym kręgu interakcji, gdzie udane czyny dają dobre samopoczucie, a dobre samopoczucie umożliwia trafne rozpoznanie i adekwatne działanie.

I to samo przekonanie/założenie/wezwanie odnaleźć możemy w Programie NSZZ „Solidarność”. Ustawodawcy chcą współtworzyć struktury społeczne, w których będzie się można troszczyć o siebie nawzajem i działać na rzecz dobrostanu pracowników i obywateli. Ten dobrostan jest dla nich warunkiem oraz efektem obywatelskiej aktywności. I do tego powinniśmy wrócić.

**Ewa Graczyk** (ur. 1953) – literaturoznawczyni i działaczka społeczna, prof. zwyczajny. Od 1983 roku związana z Uniwersytetem Gdańskim. W 2006 roku nominowana do nagrody Nike, a w 2014 roku do Nagrody Literackiej Gdynia.

## Nie ma solidarności bez zaufania

### Agnieszka Kwiatkowska

Program *Samorządna Rzeczpospolita*, uchwalony 7 października 1981 roku przez I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, staje się aktualny tym bardziej, im mocniej III Rzeczpospolita oddala się od standardów demokratycznych, a zbliża do autorytarnych rozwiązań ustrojowych, przeciwko którym protestowała demokratyczna opozycja w PRL-u.

*Samorządna Rzeczpospolita* – poza programem zdecentralizowanego, niezależnego samorządu – wskazywała też na kluczowe elementy demokracji, które w ostatnich latach są zawieszane pod pretekstem walki z „układem”, „wrogimi elitami”, grupami mniejszościowymi, a od niedawna – pandemią. Jednocześnie politycy z aktualnie rządzącej partii starają się przedstawić swoje ugrupowanie jako kontynuatora tradycji opozycyjnej. Nabiera to ironicznego wydźwięku, gdy przywołamy główne tezy programowe *Samorządnej Rzeczypospolitej*:

- Trwające już prawie sześć lat ataki na system sądownictwa oraz indywidualnych sędziów, mające na celu osłabienie mechanizmu kontroli nad działalnością rządu – często sprzeczne z obowiązującymi ustawami i Konstytucją – a szczegółowo opisane w raporcie *2000 dni bezprawia*<sup>1</sup> inicjatywy Wolne Sądy, zestawień możemy z Tezą 24: „Sądownictwo musi być niezawisłe, a aparat ścigania poddany społecznej kontroli”.
- O łamaniu praw obywatelskich, które nasiliło się w czasie pandemii, gdy zakazy przemieszczania się, organizowania zgromadzeń oraz uczestnictwa w nich przez większość czasu funkcjonowały bez umocowania ustawowego, a także o nieuzasadnionych aresztowaniach i przemocy wobec protestów osób LGBT+ (jak również o skierowanych przeciw osobom LGBT+ dyskryminujących wypowiedziach osób pełniących wysokie funkcje państwowe) oraz wobec protestów kobiet (jak i o dalszym ograniczaniu praw reprodukcyjnych kobiet) przypomina Teza 23: „System musi gwarantować podstawowe wolności obywatelskie, respektować zasady równości wobec prawa wszystkich obywateli i wszystkich instytucji życia publicznego”. Liczne przypadki naruszania praw obywatelskich i łamania zasady równości wobec prawa poznać możemy m.in. dzięki corocznym raportom Rzecznika Praw Obywatelskich<sup>2</sup>.
- Wreszcie w kontekście politycznego ataku na Program Trzeci Polskiego Radia, problemów z przedłużeniem koncesji dla TVN24, skrajnego upolitycznienia telewizji publicznej oraz motywowanych politycznie zwolnień redaktorów naczelnych w mediach Polska Press po przejściu przez Orleń, zacytować możemy Tezę 32: „Środki społecznego komunikowania są własnością społeczną, muszą służyć całemu społeczeństwu i być pod jego kontrolą”.

Program *Samorządna Rzeczpospolita* stanowił również wezwanie do społecznej solidarności. Stawiał na działania zdecentralizowane, poza instytucjami komunistycznego państwa, do łączenia się na płaszczyźnie zawodowej, terytorialnej, do współpracy w celu odzyskania i naprawy kraju. Taka społeczna solidarność przydałaby się Polkom i Polakom również obecnie, gdy demokratycznie wybrani przywódcy stopniowo demontują podstawowe zasady demokracji i podważają znaczenie kluczowych procedur

<sup>1</sup> Wolne Sądy [S. Gregorczyk-Abram i in.], *Raport 2000 dni bezprawia. Stan na 14 września 2021 r.*, Warszawa 2021, <https://wolnesady.org/files/2000-dni-bezprawia-PL-stan-na-14.09.2021.pdf>; tu i dalej dostęp sprawdzony 12 października 2021.

<sup>2</sup> Rzecznik Praw Obywatelskich, *Informacja o działalności Rzecznika Praw Obywatelskich w roku 2020*, Warszawa 2021, [https://bip.brpo.gov.pl/sites/default/files/Informacja\\_RPO\\_za\\_2020.pdf](https://bip.brpo.gov.pl/sites/default/files/Informacja_RPO_za_2020.pdf).

chroniących wartości demokratyczne. Gdy 30 lat po upadku reżimów komunistycznych ciężko wywalczona demokracja przestała być „jedyną grą w mieście”<sup>3</sup>.

Solidarność wymaga jednak zaufania. Nie jesteśmy w stanie solidarnie współpracować z ludźmi, których nienawidzimy, którymi pogardzamy, których oskarżamy o zdradę. Do solidarnego działania konieczne jest przekonanie, że inni włączą się równie aktywnie w realizację wspólnego celu. Tymczasem Polska od lat ma jeden z najwyższych poziomów nieufności społecznej w całej Unii Europejskiej. Zgodnie z badaniami CBOS z lutego 2020 roku ponad ¾ Polaków uważa, że w stosunkach z innymi ludźmi trzeba być bardzo ostrożnym, a tylko 22 procent sądzi, że ogólnie rzecz biorąc, większości ludzi można ufać<sup>4</sup>. Polacy w pełni ufają wyłącznie swojej najbliższej rodzinie.

Ta powszechna nieufność nie jest niczym nowym, utrzymuje się od dawna. Nie tylko utrudnia ona codzienne kontakty towarzyskie, spowalnia i czyni bardziej kosztownymi umowy biznesowe, blokuje zwalczanie korupcji i zwiększanie rozliczalności władz. Sprawia ona również, że na poziomie państwa łatwo jest nastawiać jedne grupy w społeczeństwie przeciw drugim i nie obawiać się społecznego sprzeciwu na tyle powszechnego, że przełoży się na utratę władzy. Nieufność skutkuje też tym, że łatwo jest znajdować kolejne „czarne owce” – wewnętrznych lub zewnętrznych wrogów, którzy są publicznie oskarżani, osądzani i odcłowieczani dla politycznych celów. Budowanie zaufania społecznego to kwestia powolnej zmiany społecznej. Nie da się tego procesu zbyt przyspieszyć, za to nietrudno go zatrzymać. Z tego powodu idee *Samorządnej Rzeczypospolitej* – państwa opartego na solidarności i samoorganizacji społecznej – pozostaną utopią w nie mniejszym stopniu obecnie, co w 1981 roku.

**Agnieszka Kwiatkowska** (ur. 1979) – dr, socjolog, politolog związana z Uniwersytetem SWPS. Zajmuje się zachowaniami politycznymi, przemianami wartości społecznych, ruchami społecznymi i partiami politycznymi. W latach 2014–2018 dyrektor ds. badań Polish Psychologists’ Association in London. Obecnie kieruje projektem naukowym „Instytucjonalizacja partii politycznych w parlamentach w Europie Środkowej – data mining debat parlamentarnych” (2020–2023, NCN, Opus).

3 J. Linz, A. Stepan, *Problems of democratic transition and consolidation. Southern Europe, South America, and post-Communist Europe*, The Johns Hopkins University Press, Baltimore 1996, s. 5.

4 CBOS, *Zaufanie społeczne. Komunikat z badań nr 43/2020*, [https://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2020/K\\_043\\_20.PDF](https://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2020/K_043_20.PDF).



## Ludowładztwo i harmonia

---

### Wojciech Przybylski

Tezy o samorządności z programu NSZZ „Solidarność” brzmią dziś niezwykle aktualnie. Myśli spisane 40 lat temu nie różnią się od postulatów z demonstracji, wieców ulicznych i protestów w imię demokracji oraz przeciwko centralizacji władzy w rękach Jarosława Kaczyńskiego i jego partii. Rodzą się wobec tego dwa pytania: o to, czy owe tezy są fundamentem przekonań politycznych Polaków, przywoływanych nie wprost przez opozycję i przedstawicieli społeczeństwa demokratycznego, a może ze względu na swoją wartość symboliczną stają się wygodnym instrumentem w bezwzględnej grze politycznej? Odpowiedź na drugie pytanie przychodzi szybko i jest przecząca.

O „Solidarności” z uwagi na owe tezy dziś się nie mówi i nie dyskutuje. Rzadkie odniesienia do nich ze strony polityków sprawiają wrażenie wewnętrznej dyskusji klubowej dla oldbojów. „Solidarność” jako ruch społeczny została do tego stopnia zużyta przez lata w grze politycznej, że nie ma dla nowych pokoleń siły symbolicznego kapitału – autorytetu, który legitymizowałby polityczną władzę. Istniejący do dziś związek zawodowy jest ledwie grupą interesu, jedną z wielu uprawnionych do lobbowania na rzecz swoich członków. Poza pokoleniem, które uczestniczyło w masowym zrywie i także dzięki temu dziś sprawnie organizuje się w ruchach protestu, nie pielęgnowano przez dłuższy czas żywej pamięci o treściach oraz formie tej wyjątkowej w dziejach Polski i Europy społecznej samoorganizacji. Nie jest to zupełnie zmarnowany potencjał, bo cele edukacji obywatelskiej dopiero stosunkowo od niedawna przyjęło na siebie gdańskie Europejskie Centrum Solidarności, które z roku na rok cieszy się coraz większym zainteresowaniem rodzin z dziećmi. Kapitał symboliczny „Solidarności” nie jest więc na dzisiaj, ale być może jest do odbudowy z czasem. Miejmy taką nadzieję.

Być może właśnie dlatego tezy o samorządności z tamtego ruchu są we współczesnym odczytaniu tak uniwersalne. „Solidarność” jako wydarzenie pokoleniowe musiała się zużyć, aby można sięgnąć do niej na nowo, bez emocjonalnego bagażu. Lektura całego dokumentu, a zwłaszcza preambuły z odniesieniami do etyki chrześcijańskiej czasów Jana Pawła II zestawionymi z narodową, robotniczą i demokratyczną tradycją świata pracy – to wszystko dźwięczy pusto barokowymi ozdobnikami czasów słusznie minionych. Zarazem jednak u podstaw tych odwołań leżą takie prawdy, jak poszanowanie godności ludzkiej i rola państwa, które ma pełnić funkcję służebną, a nie panować nad człowiekiem. Stąd bierze się moc tez o Polsce samorządnej, czyli pluralistycznym „ludowładztwie” – projekcie politycznym, którego najbliższym odzwierciedleniem byłyby prędeż pisma Tomasza Masaryka niż myśli Romana Dmowskiego czy Józefa Piłsudskiego.

O ile współczesny słownik polityczny Polski nie obfituje w koncepcje demokratyczne, o tyle zwieńczenie prawdziwie republikańskich i przesiąkniętych duchem humanizmu prób intelektualnych znajdziemy właśnie w programach pierwszej „Solidarności”.

Samorządność, która kojarzy się dziś przede wszystkim z wójtem, burmistrzem i prezydentem miasta, to przecież w 1981 roku tylko jeden z wielu wymiarów samorządnego kraju. Solidarnościowe postulaty mówią o ramach autonomii dla wszystkich organizacji społecznych, w tym związków zawodowych i stowarzyszeń, broniących nie tylko praw swoich członków, lecz także dopominających się o systemowe gwarancje przeciwko instrumentalizacji politycznej samorządności przez jedną lub wiele partii. Nie chodzi więc jedynie o PZPR, ale w ogóle o podkreślenie autonomii społeczeństwa obywatelskiego wobec jakiegokolwiek gry politycznej.

Owszem, „Solidarność” stawia – także z dzisiejszego punktu widzenia – dalekosiężne tezy o budowie silnego samorządu terytorialnego, czego nawet wielcy reformatorzy Michał Kulesza i Jerzy Regulski za rządu Jerzego Buzka nie dali rady wdrożyć w pełni. Nie udało się bowiem wyposażyć samorządów w ustrojowe gwarancje samodzielności, postulowane w tezach w postaci nieusuwalnych źródeł przychodu z podatków lokalnych i samorządowego nadzoru nad działaniami organów państwa na szczeblu najwyższych władz państwowych. Przeciwnie, rząd Prawa i Sprawiedliwości od 2015 roku konsekwentnie dąży do usunięcia finansowej niezależności samorządu lokalnego, dokładnie wbrew postulatowi „Solidarność”.

Także inne decyzje rządu Mateusza Morawieckiego idą dokładnie przeciw tezom polskiej „Solidarność”, która wnosi o niezawisłe i samorządne sądownictwo, prokuraturę poddaną społecznej, a nie politycznej kontroli, a także o autonomię oraz samorządność instytucji edukacji, kultury i nauki, co w połączeniu z postulowaną na czele zasadą pluralizmu jest nie lada wyzwaniem dla ministra Przemysława Czarnka, nawiązującego stylem co najwyżej do komunistycznej, a nie demokratycznej Polski.

W końcu uderzającą jest Teza 31, która głosi walkę z zakłamaniami w życiu publicznym („ponieważ społeczeństwo chce i ma prawo żyć w prawdzie”) oraz napomina, że „groźnym narzędziem kłamstwa jest sam język propagandy, który uszkadza nasz codzienny sposób wyrażania myśli i uczuć. Związek – deklaruje – będzie dążył do przywrócenia społeczeństwu polszczyzny, umożliwiającej prawdziwe porozumienie się między ludźmi”. Ma to oczywiście praktyczny cel leżący w odzyskaniu kontroli społecznej nad mediami – publicznymi, bo w PRL-u o prywatnych nikt nie miał nawet odwagi myśleć. I tutaj trudno o bardziej aktualne wskazanie zagrożeń, z jakimi mamy współcześnie do czynienia – zarówno w języku i kontroli przekazu politycznego serwowanego przez TVP kierowaną przez „ministra” Jacka Kurskiego, jak i szerzej: w przestrzeni mediów społecznościowych oraz w sytuacji masowych problemów z dezinformacją, podsycającą społeczne podziały i osłabiającą demokrację.

Zapewne naiwnością jest sądzić, że demokracja ma budować harmonię, tak jak życzył sobie Masaryk, który pisał, że „demokracja jest samorządem, samorząd zaś jest rządem nad sobą – samorząd zaczyna się od siebie samego (...) W demokracji – dlatego że jest to rząd wszystkich i dla wszystkich, nie idzie już o panowanie, tylko o zarząd i samorząd, a także o harmonizację wszystkich państwowotwórczych sił w państwie”<sup>1</sup>. „Solidarność” w polemice napisałaby Masarykowi zapewne, że to dzięki harmonii buduje się demokrację i dlatego politykę należy zacząć od fundamentów etycznych. Ale co do całej reszty byłaby zgoda. Obydwa źródła demokratycznego istnienia narodów aż proszą się dziś o powszechne odczytanie na głos.

**Wojciech Przybylski** (ur. 1980) – redaktor naczelny Visegrad Insight. Wieloletni redaktor naczelny „Res Publici Nowej”, a następnie Eurozine.com. *Europe’s Futures Fellow* w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu (2021/2022), wcześniej asystent naukowy w Katedrze im. Erazma z Rotterdamu Uniwersytetu Warszawskiego, w Akademii Politycznej w Wiedniu oraz Francuskim Centrum Studiów Środkoeuropejskich CEFRES w Pradze. Jeden z liderów Zdecentralizowanej Rzeczypospolitej, projektu Inkubatora Umowy Społecznej. Współautor książki *Understanding Central Europe*, Routledge (2019).

<sup>1</sup> T.G. Masaryk, *Rewolucja światowa*, Warszawa–Poznań–Kraków–Lwów–Stanisławów [b.d.w.], s. 613, cyt. za: M. Bankowicz, *Demokracja według T.G. Masaryka*, Kraków 2015.

## Samorządna Rzeczpospolita – poza państwo i rynek

### Jan Sowa

Winston Churchill ponoć stwierdził kiedyś, że Europa Wschodnia wyprodukowała więcej historii, niż jest w stanie sama zrozumieć. Inne źródła przypisują tę wypowiedź Margaret Thatcher, jednak tożsamość autora/autorki jest tu o wiele mniej istotna niż trafność samej obserwacji; los programu NSZZ „Solidarność” *Samorządna Rzeczpospolita* doskonale ją potwierdza. Nawet perypetie owego dokumentu są zaskakujące i symptomatyczne. Został on wydrukowany jako aneks do 29 numeru „Tygodnika Solidarność” 16 października 1981 roku jako uchwała programowa I Krajowego Zjazdu Delegatów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” (dalej – KZD) z 7 października 1981 roku. Po upadku PRL-u przez długi czas nie był on w ogóle przypomniany ani cytowany. W 2005 roku, z okazji 25. rocznicy porozumień sierpniowych, Instytut Pamięci Narodowej wydał płytę CD ze wszystkimi numerami „Tygodnika Solidarność” wraz z dołączonymi do nich suplementami. Program I KZD nie znalazł się wśród tych materiałów. Dopiero po interwencji – o ironio! – dziennika „Trybuna”, który stwierdził, że podwładni Leona Kieresa wymazali program „Solidarność” z historii jak Stalin Trockiego, plik z dokumentem został udostępniony.

Nikt nigdy nie spróbował wdrożyć w życie pomysłów przedstawionych w *Samorządnej Rzeczpospolitej*. Od uchwalenia programu „Solidarność” do wprowadzenia stanu wojennego minęły zaledwie dwa miesiące. Można zaryzykować tezę, iż zaskakujące połączenie radykalizmu z pragmatyzmem zawarte w tym dokumencie przyczyniło się do podjęcia przez ówczesne władze działań bardziej drastycznych i zdecydowanych, niż miało to miejsce wcześniej. Oto bowiem Związek wyartykułował w sposób systemowy, spójny i pogłębiony swoje pomysły na całościową reformę państwa, odnosząc się do większości aspektów życia społecznego: organizacji władzy, mediów, polityki społecznej, szkolnictwa itp.

Nie były to pomysły, pod którymi PZPR czy KPZR mogły się podpisać – i to z kilku nieco nawet paradoksalnych powodów. *Samorządna Rzeczpospolita* szła oczywiście pod prąd ówczesnej ortodoksji, proponując rozwiązania, które zupełnie nie pasowały do ustroju PRL-u. Owo niedopasowanie miało jednak bardzo szczególny i niebezpieczny dla władzy charakter – o czym pisałem kiedyś obszernie w książce *Inna Rzeczpospolita jest możliwa! Widma przeszłości, wizje przyszłości* (2015) – chodziło o bunt wobec PRL-u osadzający się na zasadach uspołecznienia i demokratycznej kontroli, na których w teorii tamto państwo zostało zbudowane. W tym sensie „Solidarność” była właściwym wydarzeniem komunistycznym w obrębie reżimu, który formalnie celebrował komunizm, w praktyce jednak wprowadzał w życie system zasługujący raczej na miano państwowego kapitalizmu.

Partia nazwała idee „Solidarność” „anarchosyndykalistycznym odchyleniem” – i było w tym dużo prawdy. Program I KZD pokazuje bowiem wyraźnie, że na powstanie „Solidarność” patrzeć trzeba nie w perspektywie powstań narodowowyzwoleńczych, a tym mniej w kategoriach walki o wolny rynek i kapitalizm (to drugie to nawet stwierdzenie kuriozalne), ale umieszczając ją w długiej tradycji robotniczej samoorganizacji – od proletariackich buntów wieku XVI i XVII opisanych przez E.P. Thompsona w książce *Customs in Common* (1980), przez Sprzysiężenie Równych z czasów rewolucji francuskiej, Komunę Paryską, rewolucję 1905 roku, aż po powojenne strajki robotników w Łodzi (przedstawione przez Padraica Kenneya w książce *Budowanie Polski Ludowej. Robotnicy a komuniści 1945–1950*, 2015) oraz wydarzenia z czerwca 1956 i grudnia 1970 roku. Dlatego właśnie „Solidarność” była dla Partii tak niebezpieczna: wyrażała idee w swojej naturze głęboko socjalistyczne, a nawet komunistyczne, a jednocześnie przyjmowała organizacyjną formę ruchu robotniczego wymierzonego w teoretycznie

robotnicze państwo. Paradoksalnie tzw. komuniści – czyli działacze oficjalnych partii tzw. komunistycznych – o wiele łatwiej dogadaliby się z „Solidarnością”, gdyby była ona ruchem na rzecz reform o charakterze kapitalistyczno-rynkowym. W obrębie świata tzw. komunistycznego w tym kierunku parę lat wcześniej poszły Chiny pod kierownictwem Deng Xiaopinga, a pół dekady później ZSRR Michaiła Gorbaczowa. Gdyby więc „Solidarność” zamiast *Samorządnej Rzeczypospolitej* wyartykułowała program zatytułowany *Samoregulujący się rynek* albo *Pożytki z przedsiębiorczości*, spotkałaby się oczywiście z oficjalnym potępieniem ideologicznym, jednak raczej nie pociągnęłoby to za sobą aż tak radykalnej represji, jaką był stan wojenny.

Warto podkreślić, że program *Samorządna Rzeczpospolita*, uchwalony przez wyłonioną demokratycznie reprezentację związkową, nie był dziełem intelektualistów, ale wyrazem wewnętrznej świadomości ruchu robotniczego. Znaczenie liberalnych intelektualistów dla powstania i funkcjonowania „Solidarności” jest współcześnie przeceniane. Jak było naprawdę, najlepiej opowiedział nie kto inny, ale sam Adam Michnik w rozmowie z Danielem Cohnem-Benditem pod koniec lat osiemdziesiątych: „Jacek [Kuroń] był bardzo niespokojny, podobnie jak ja, że tam w Gdańsku, mają takie awanturnicze idee. (...) Główna awanturnicza idea polegała na tym, że mogą powstać niezależne i samorządne związki zawodowe. Jacek wiedział, że w komunizmie jest to niemożliwe. Ja też wiedziałem, że to jest niemożliwe, i dlatego miałem jechać do Gdańska, do Stoczni, żeby im wytłumaczyć, że nie ma sensu upierać się przy tym postulacie. (...) Na szczęście aresztowali mnie, nie pojechałem tam i nie przekonałem, i powstała »Solidarność«. Aresztowali Jacka i mnie i dlatego powstała »Solidarność«, bo prawdopodobnie wytłumaczylibyśmy im, że nie ma prawa powstać. Wiedzieliśmy, że niezależne, samorządne związki zawodowe w komunizmie są niemożliwe, ale robotnicy o tym nie wiedzieli. **Tak powstała »Solidarność«, bez nas i przeciw nam**” (podkreślenie moje – JS)<sup>1</sup>.

Piszę o tym bynajmniej nie po to, aby pastwić się nad liberalnymi intelektualistami, ale żeby zwrócić uwagę na historyczną doniosłość programu I KZD. Ówczesnym wyrazem ludowych dążeń – zarówno w sensie ich popularności, jak i klasowej lokalizacji – nie był faszystujący populizm, jak ma to miejsce dzisiaj. Społeczeństwo daleko bardziej religijne niż współczesna Polska, nie mniej tradycjonalistyczne, społeczeństwo, które dzisiaj zaprzecza podstawowej ludzkiej solidarności, ponieważ skazuje na śmierć z wychłodzenia uchodźców dobijających się do naszych ufortyfikowanych drutem kolczastym granic, wydało z siebie dokument o zaskakująco inkluzywnej i postępowej orientacji. Walka z prawem kobiet do decydowania o własnym ciele czy uprzywilejowanie kleru nie były w ogóle wyartykułowanymi w owym dokumencie celami, chociaż aborcja pozostawała łatwo dostępna, a Kościół katolicki był jawnie szykanowany przez władze. To bardzo ciekawy przyczynek nie tylko do dyskusji na temat domniemanej determinacji polityki przez kulturę (ulubiony temat Samuela P. Huntingtona i jego akademicko-medialnych akolitów), ale również do debat dotyczących społeczno-politycznych konsekwencji polityki uznania i redystrybucji. Zmniejszenie nierówności materialnych i symboliczne dowartościowanie klas niższych, jakie dokonało się w PRL-u, dało nam „Solidarność” z jej programem *Samorządnej Rzeczypospolitej*, a bezwzględna neoliberalna transformacja początku lat dziewięćdziesiątych zaowocowała populizmem; jakkolwiek niewygodne mogłoby to się wydawać tak liberalnym, jak i konserwatywnym elitom III RP, Jarosław Kaczyński jest dzieckiem Leszka Balcerowicza.

*Samorządna Rzeczpospolita* to dokument zbyt ważny, aby mówić o nim tylko poprzez zaprzeczenia i paradoksy. Stanowi on wyraz niewiarygodnie silnej wyobraźni politycznej, której dzisiaj boleśnie brakuje środowiskom lewicowo-postępowym. „Solidarność” potrafiła wykroczyć poza dominującą

<sup>1</sup> Rozmowa Adama Michnika z Danielem Cohnem-Benditem, *Pewien polski etos*, „Kontakt” (Paryż), lipiec–sierpień 1988, nr 74–75, s. 50. Cytat za: D. Ost, *Solidarność a polityka antypolityki*, tłum. S. Kowalski, Gdańsk 2014, s. 127.

obecnie w debacie publicznej spór definiowany przez obie strony jako konflikt państwa z rynkiem czy też interwencjonizmu z wolnością gospodarowania. *Samorządna Rzeczpospolita* rozsądza od wewnątrz dychotomię własności prywatnej i państwowej, wprowadzając trzecią siłę: dobro wspólne, czyli własność społeczną. Takich reform domagała się wtedy „Solidarność”: nie prywatyzacji, ale uspołeczniania i uwspólniania. Taka też jest jedyna sensowna alternatywa dla perwersyjnego upodmiotowienia, jakie daje dziś ludowi populizm: upodmiotowienie przez dobra wspólne. Tego jednak nie zapewni nam liberalne centrum, nieważne jak pięknie jego liderzy będą mówić o wolności i demokracji, bo to ono przede wszystkim odpowiada za wręcz niewiarygodną destrukcję dobra wspólnego, jaka dokonuje się w Polsce, począwszy od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Odpowiedzią nie jest również konserwatywny populizm, który solidarność myli z plemiennością, ksenofobią i szowinizmem.

Musimy szukać gdzieś indziej. *Solidarna Rzeczpospolita* nie jest zestawem gotowych receptur do wdrożenia, jednak mogłaby być busolą wyznaczającą kierunek poszukiwań... Gdybyśmy tylko chcieli szukać.

**Jan Sowa** (ur. 1976) – dialektyczno-materialistyczny teoretyk i badacz społeczny. Doktor socjologii, habilitował się z kulturoznawstwa. Był członkiem Komitetu Nauk o Kulturze PAN oraz kuratorem programu dyskursywnego i badań Biennale Warszawa. Obecnie profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Autor wielu artykułów i kilku książek, m.in. *Fantomowe ciało króla* (2012), *Inna Rzeczpospolita jest możliwa* (2015) oraz – wspólnie z Krzysztofem Wolańskim – *Sport nie istnieje* (2017).

## Samorządność 40 lat później

### Marta Dzido

Kilka dni temu spotkałam dawno niewidzianą dobrą znajomą. Na moje: „Co słyhać?” odpowiedziała z gorzkim uśmiechem: „Urządziłam się w dupie”. Znajoma jest doktorką nauk humanistycznych, przez kilka lat współprzewodniczyła jednej z partii politycznych, była radną, kandydowała na prezydentkę miasta, aktywistka, feministka, pomysłodawczyni, pełnomocniczka, inicjatorka, dla mnie osobiście autorytetka – i mogłabym przez cały następny akapit wymieniać jej zasługi – i ona mówi, że urządziła się w dupie. Gorzko, ale szczerze i bez upiększeń.

Co ta anegdota ma wspólnego z postulatami Programu NSZZ „Solidarność” z roku 1981 o samorządności, samoorganizacji, wolności i chlebie? Pozornie nic, a jednak wiele.

Czterdzieści lat temu polskie społeczeństwo znajdowało się w podobnym miejscu, co wyżej wspomniana dobra znajoma. Nieliczni byli tam urzędnicy, niektórzy nawet całkiem wygodnie, jednak większość próbowała się z tego nieciekawego miejsca różnymi sposobami wydostać.

Siłę dawało poczucie sprawczości, a to z kolei można było zyskać, wstrzymując pracę przedsiębiorstw państwowych. Wtedy władza, przyparta do muru, zdecydowała się podjąć dialog. Strajk był skuteczną formą oporu, strajki solidarnościowe miały potencjał zmiany rzeczywistości. Efektem są porozumienia sierpniowe z roku 1980, a rok później wizja *Samorządnej Rzeczypospolitej* zapisana w programie NSZZ „Solidarność”.

Czterdzieści lat temu ludzie wyszli na ulice z hasłem: SOLIDARNOŚĆ. Przekaz był jasny i mówił o wspólnocie, szacunku, współodpowiedzialności, empatii. Wydawało się wtedy, że zmiana jest możliwa. Była. Ale czy się dokonała?

Po 40 latach, kiedy PRL jest przeszłością, a teraźniejszością „wolna Polska”, ludzie wciąż są na ulicach. Nie mają już broni w postaci strajku, którym mogliby sparaliżować gospodarkę, bo nie ma wielkich państwowych zakładów i fabryk. Dialog z rządzącymi sprowadza się do przekazywania im petycji, które wraz z podpisami setek tysięcy osób wyrzucane są przez adresatów na śmietnik. Wciąż chodzi o wolność, o chleb i samorządność, tylko hasło protestujących jest inne. Dziś brzmi ono: WYPIERDALAĆ.

Słowa mają moc. Cztery dekady temu nadzieją były dialog i wspólne wytyczanie nowej drogi, dziś propozycją są gilotyna i spustoszenie. Po drodze były rozmaite okrągłe stoły z powyłamywanymi nogami, przerabianie zupy rybnej na akwarium i na odwrót, „zdrowie wasze w gardła nasze” i najbardziej dotkliwa moim zdaniem zdrada, jakiej dopuścili się współautorzy transformacji przy wsparciu „Solidarności” – sojusz z mafią, która od wieków cynicznie wykorzystuje nauki Jezusa do bogacenia się na krzywdzie innych i do bezkarnego popełniania przestępstw. Z mafią, która wpływa na władzę ustawodawczą, tworzy prawo, sprawuje kontrolę, gardzi kobietami. To dlatego SOLIDARNOŚĆ ewoluowała w WYPIERDALAĆ.

Agresja jest przejawem bezsilności, to ostateczna broń. Być może jedyna, jaka nam pozostała. Bo przecież nie są nią ani lajkaktywizm, ani selfie z aktualnym hasztagiem, ani instagramowe influencerstwo, pozornie dające poczucie bycia w grupie, a tak naprawdę będące narzędziem do kreowania wirtualnej bańki generującej określony przychód. Kiedy osiem lat temu kręciliśmy dokument *Solidarność według kobiet*, jedna z bohaterek filmu – Joanna Gwiazda – powiedziała: „władza boi się wyłącznie ruchów społecznych, wystąpień ulicznych, wybijania szyb”. I chociaż rozumiem zmęczenie i frustrację, to nikogo nie namawiam do dewastacji cudzego mienia. Ale nie uważam też, by wyjściem z sytuacji było mniej lub bardziej wygodne urządzenie się w dupie.

Rok temu wraz z tłumem rozwścieczonych dziewczyn blokowałyśmy ruch w mieście, krzycząc: „To jest wojna!”. Odczuwałam skrajne emocje. Z jednej strony – poczucie ogromnej siły, jaką daje świadomość, że nie jestem sama (myślę, że na tym właśnie polega istota solidarności), z drugiej jednak – niemoc, bo nauczona doświadczeniem zdaję sobie sprawę, że uliczne protesty mają wymiar jedynie symboliczny. Że po drugiej stronie nie ma nikogo, kto by usłyszał, zrozumiał, wyciągnął dłoń w kierunku porozumienia. Dziś, podpisując apel do premiera w sprawie przerwania kryzysu humanitarnego na granicy polsko-białoruskiej, czuję podobnie.

Dlatego tak trudno napisać mi budujący tekst, który byłby próbą odczytania na nowo zapisów z programu NSZZ „Solidarność” sprzed 40 lat. Bo to, że tezy o potrzebie samorządności, pluralizmu, równości, dostępności, niezawisłości, wolności są wciąż aktualne – to oczywistość. To, że przez 40 lat nie udało się ich zrealizować – to bardzo bolesna konstatacja. Czym jest samorządność i jak ją realizować dzisiaj?

Pewnie mogłabym podzielić się w tym momencie czymś na kształt krzepiącej refleksji, że przecież organizacje pozarządowe, inicjatywy obywatelskie, wspólnoty mieszkaniowe i budżety partycypacyjne itede, itepe, ale jestem realistką i żądam niemożliwego, więc chciałabym czegoś więcej niż samorządności w urzędowaniu się w dupie. Chciałabym być wysłuchana, czuć, że mam wpływ, że mój głos liczy się nie tylko przy urnie, a moja możliwość wyboru nie ogranicza się do tego, czy zasadzić pięć drzewek w alejce między blokami, czy raczej postawić dwie ławeczki. Oczekiwałam, że zanim zdjęcie mojej twarzy w paszporcie zostanie otoczone aureolą złożoną ze słów „bóghonorojczyzna”, będę mogła wypowiedzieć się, czy tego chcę. Tak między innymi rozumiem niezależne decydowanie o własnych sprawach. Ale nikt nie zapytał. Państwo wyznaniowe staje się faktem. A w takim państwie samorządność jest fikcją. I jest to w dużej mierze zasługą ruchu, który w nazwie ma solidarność i który wyrósł z pragnienia wolności.

Zgadzam się, że warto sięgać w przeszłość, odczytywać na nowo, inspirować się, czerpać, ale do tego trzeba też znać historię i umieć ją przeanalizować, by nie popełniać tych samych błędów. Niezależność, samorządność, prawa pracownicze, sprawiedliwość społeczna, solidarność międzypokoleniowa – wszystko tak, ale dodałabym do tego jeszcze marzenia i wiarę w to, że inny świat jest możliwy.

Nie mam recepty, jak sprawić, by w podlegającym nieustannej manipulacji emocjami, a przez to skłóconym i straumatyzowanym społeczeństwie samorządność mogła stać się faktem. Do tego najpierw trzeba poczuć się u siebie, potem chcieć współdecydować i wziąć odpowiedzialność. To wyzwanie, tym bardziej że ze strony rządzących nie ma chęci dialogu. A sposobów, by ich do tego zmusić – może oprócz sprytnego działania dobrze zorganizowanej grupy hakerskiej – nie widzę.

Sama się zresztą teraz zastanawiam, czy po tym, jak padło: WYPIERDALAĆ, rozmowa może mieć ciąg dalszy. Może?

Rozumiem tę moją dobrą znajomą, że po latach pracy u podstaw, zaangażowania, edukowania i po próbach robienia polityki zgodnie z jej pierwotnym znaczeniem – czyli działania na rzecz dobra wspólnego – opadła z sił i urządziła się tam, gdzie się urządziła. Chcę wierzyć, że to chwilowe.

I choć sytuacja nie napawa optymizmem, to jednak będę powtarzać, że warto sięgać do doświadczeń sprzed 40 lat. Nie tylko po to, aby stwierdzić aktualność postulatów i zastanowić się, jak nie powtórzyć błędów. Myślę, że może się tam kryć coś jeszcze. Odpowiedź na pytanie, w jaki sposób odzyskać sprawczość. A sprawczość to pierwszy krok do samorządności.

**Marta Dzido** (ur. 1981) – autorka książek *Małż* (2005), *Ślad po mamie* (2006), *Matrioszka* (2013), *Kobiety Solidarności* (2016), *Frajda* (2018), *Sezon na truskawki* (2021). Tłumaczona na wietnamski, serbski, czeski, chorwacki. Współautorka (wraz z Piotrem Śliwowskim) filmów dokumentalnych *Paktofonika*, *Downtown*, *Solidarność według kobiet*, *Siłaczki*. Laureatka nagród: Hollywood Eagle Documentary Award, Krzysztof Kieślowski Beyond Borders Award, European Union Prize for Literature.

## Samorządność, czyli oddolna demokracja

### Szymon Rębowski

Gdy analizujemy program NSZZ „Solidarność”, w tym jego część – *Samorządna Rzeczpospolita*, pierwszym, co rzuca się w oczy, jest jego wieloaspektowość. W związku z tym, pomimo upływu 40 lat i obalenia w tym czasie w Polsce monopartyjnej dyktatury, tekst ten nie przestaje być aktualny, a przynajmniej inspirujący.

Pierwszą „warstwą” programu są oczywiście odniesienia do bieżącej sytuacji PRL-u w 1981 roku, w tym konkretnie do grożącego społeczeństwu i państwu kryzysu gospodarczego. Celem zgłaszanych postulatów jest doprowadzenie do demokratyzacji życia publicznego, realizowanej – w związku z przynależnością Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej do radzieckiej strefy wpływów – przede wszystkim oddolnie, poprzez kontrolę działań władzy przez samoorganizujące się społeczeństwo.

Kolejne elementy programu są formułowane w związku z tym w kontekście peerelowskiej rzeczywistości. Wydaje się jednak, że oprócz propozycji rozwiązania konkretnych problemów wyłania się z nich także całościowy obraz przemiany życia społecznego. Obraz, dodajmy, zarówno w warunkach lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, jak i dziś w dużej mierze utopijny. Nie powinno to jednak dyskredytować zawartych w nim intuicji, wręcz przeciwnie! To właśnie dzięki pewnej dozie idealizmu cele stawiane przez autorów *Samorządnej Rzeczypospolitej* są warte analizy niezależnie od miejsca i czasu.

Dziś, w Polsce 2021 roku, w związku z zawłaszczaniem kolejnych instytucji, w tym przede wszystkim wymiaru sprawiedliwości (ale również chociażby szkoły) przez partię rządzącą, kuszące wydaje się eksponowanie tych punktów programu, które odnoszą się do pluralizmu światopoglądowego, praw człowieka czy niezależności sądownictwa (tezy 19, 23, 24, 25). Nie ignoruję tych kwestii, jednak chciałbym skupić się na innym aspekcie programu: czym jest owa samorządność, na której tak bardzo zależy jego autorom?

Obecnie ową ideę kojarzymy przede wszystkim z samorządem terytorialnym. Samorządność w ujęciu twórców solidarnościowego programu jest jednak pojęciem znacznie szerszym, będącym podstawą organizacji życia społecznego. Samorządne miało być przede wszystkim przedsiębiorstwo społeczne – zarządzane przez załogę reprezentowaną przez radę pracowniczą (powołującą i odwołującą dyrektora). Przy analizie programu gospodarczego „Solidarność” szczególną uwagę przykuwa żądanie „rynku bez kapitalizmu”. Celem związku jest, przynajmniej częściowe, urynkwienie gospodarki, wprowadzenie modelu, w którym ceny powinny być w jak największej mierze ustalane przez popyt i podaż, odchodzenie od centralnego, biurokratycznego planowania na rzecz konkurencji społecznych przedsiębiorstw, przy jednoczesnym zwalczaniu monopoli i ochronie praw konsumenta.

Odejście od zarysowanej przez Związek wizji wydaje się jedną z największych porażek transformacji ustrojowo-ekonomicznej lat dziewięćdziesiątych. Nie w tym sensie, że utrzymanie społecznych przedsiębiorstw było na pewno możliwe, że właśnie taki rodzaj przedsiębiorstwa mógł i powinien stać się dominujący w III RP. Tak jak pisałem wyżej, program pierwszej „Solidarność” był w pewnej mierze utopijny i tworzony w warunkach rządów centralnego planowania i monopartyjnej władzy. Niezależnie jednak od możliwości wprowadzenia konkretnych rozwiązań twórcom potransformacyjnej rzeczywistości gospodarczo-społecznej nie zależało na możliwie jak najszerszym utrzymaniu modelu, w którym to pracownicy i pracownice są gospodarzami w swoim zakładzie pracy.



A to właśnie to założenie jest fundamentem wizji społeczeństwa z 1981 roku. W efekcie w III RP doszło do trwałego podziału rzeczywistości społecznej na sferę pracy, zdominowaną przez model rynkowy i kapitalistyczną logikę zysku, oraz sferę życia publiczno-politycznego z trójpodziałem władzy, systemem przedstawicielskim i demokratycznymi wyborami.

Dziś coraz mocniej zdajemy sobie sprawę z tego, że kapitalizm i demokracja nie zawsze idą ze sobą w parze, że interesy korporacji i społeczeństw niekoniecznie muszą być ze sobą zbieżne. Obserwujemy zaostrzające się starcie między cyfrowymi gigantami a rządami. Urynkowanie kolejnych sfer życia sprawia, że decydującym kryterium w rosnącej liczbie naszych aktywności staje się zysk, co nie ułatwia chociażby walki z katastrofą klimatyczną. Kapitalizm i demokracja rywalizują ze sobą jednak nie tylko „na górze”. W niedawnej rozmowie z Grzegorzem Sroczyńskim w *gazeta.pl*<sup>1</sup> Karol Muszyński zwracał uwagę na to, że piętą achillesową polskiego rynku pracy jest niewielki wpływ pracowników na firmy, w których pracują. Trend ten, zarówno w Polsce, jak i na świecie, prawdopodobnie będzie się nasilał wraz z podziałem złożonych procesów na jak najwięcej prostych zadań, które, co więcej, można „wyoutsourcować” poza firmę. Zdaniem Muszyńskiego doświadczenie pracy zdalnej może ten proces tylko przyspieszyć.

To właśnie w związku z takimi procesami wizja zawarta w *Samorządnej Rzeczypospolitej* jest dziś tak istotna. Samorządność – a więc możliwość samoorganizacji i wpływu na otaczającą rzeczywistość – była dla twórców solidarnościowego programu podstawą myślenia o demokratycznym społeczeństwie i państwie. Doświadczenie wszechogarniającej władzy jednej partii tym bardziej przekonywało twórców „Solidarności” do tego, że demokrację trzeba budować oddolnie, z dbałością o sprawczość robotnic i robotników, również, a może przede wszystkim w miejscu pracy. Dlaczego dziś, zastanawiając się nad kryzysem demokracji przedstawicielskiej, nie mielibyśmy zwrócić się do solidarnościowego dziedzictwa? Skąd bierze się w nas przekonanie, że da się ocalić demokrację, jeśli coraz więcej z nas – pracowniczek i pracowników – nie doświadcza jej na co dzień w pracy? Dlaczego pozbawionym doświadczenia samorządności obywatelom miałyby udać się stworzenie demokratycznego społeczeństwa?

**Szymon Rębowski** (ur. 1994) – studiuje historię i ekonomię w ramach Kolegium Międzydziedzinowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Wicedaktor naczelny „Magazynu Kontakt”. Edukator historyczny, prowadził warsztaty m.in. w warszawskim Domu Spotkań z Historią. Redaktor „Zeszytów do debat historycznych” wydawanych przez Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

<sup>1</sup> G. Sroczyński, *Koniec klasy średniej biurowej. „Prezesa uważają, że zatrudnianie ich jest bez sensu”* [rozmowa z Karolem Muszyńskim], *gazeta.pl*, 27.09.2021, <https://next.gazeta.pl/next/7,151003,27616924,koniec-klasy-sredniej-biurowej-prezesa-uwazaja-ze-zatrudnianie.html>.

## Samo-rządność i praca

### Piotr Kaszczyszyn

Współcześnie hasło *Samorządnej Rzeczypospolitej*, przyjęte 40 lat temu przez I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” jako hasło programowe, kojarzy nam się jednoznacznie z wymiarem ustrojowym i samorządem terytorialnym. Tymczasem patrząc na całość programu „Solidarność” z 1981 roku, należy to pojęcie rozszerzyć na jeszcze jedną kluczową sferę: społeczno-gospodarczy ład pracy. Owa **samo-rządność** odnosi się bowiem także do każdego szeregowego pracownika, jego osobistej podmiotowości i godności.

Jest rzeczą oczywistą, że 40 lat po uchwaleniu programu „Solidarność” nie możemy prostą metodą „kopiuj-wklej” wprowadzić w życie znajdujących się w nim propozycji. Warto natomiast popatrzeć nie tyle na „literę”, ile na „ducha” zawartych w programie koncepcji. Dwie z nich wysuwają się na pierwszy plan: zaproponowana przez „Solidarność” filozofia człowieka oraz policentryczny porządek społeczno-gospodarczy. Obie możemy z powodzeniem zaadaptować do jak najbardziej współczesnych nam wyzwań.

Czytając całość przedstawionych w programie tez, możemy zobaczyć, że „Solidarność” patrzyła na człowieka jako na *homo faber*, człowieka pracującego. Wydaje się, że to właśnie praca stoi w centrum ludzkiej egzystencji, wpływając w istotny sposób na pozostałe sfery naszego życia. Dziś tego rodzaju antropologia podkreślająca znaczenie pracy dla życia każdego człowieka i postulująca podmiotowość osoby w przestrzeni pracy nie straciła nic na aktualności.

Oczywiście, formułując program, członkowie NSZZ „Solidarność” funkcjonowali w określonym historycznym porządku, w rzeczywistości gospodarki industrialnej i rozumienia pracy tylko przez pryzmat jej zarobkowego charakteru. Dlatego współczesna adaptacja wizji *homo faber* musi zakładać uzupełnienie pracy zarobkowej o jej formy poza-zarobkowe. Co ważne, takie podejście łączy dziś myśl lewicową z refleksją katolicką.

W ogłoszonej w 1981 roku encyklice *Laborem exercens* Jan Paweł II wyróżnił dwa zasadnicze wymiary pracy: przedmiotowy – odnoszący się do zewnętrznych efektów ludzkiej pracy, które mają nam zapewnić godziwy byt materialny; oraz podmiotowy – odsyłający do pracy jako drogi w stronę ludzkiego samospełnienia. Na redukcjonistyczne rozumienie pracy zwracał uwagę Guy Standing, intelektualny patron prekariatu, który w pracy *Karta prekariatu* (2011) pisał, że powojenny model *welfare state* został zbudowany jedynie wokół zarobkowego wymiaru pracy – wykonywanej w fabryce, w trybie zmianowym, za którą robotnicy otrzymywali pensję od swojego pracodawcy. Jednocześnie brytyjski filozof podkreślał, że dzisiaj na Zachodzie model zarobkocentryczny wyczerpuje się i należy go przekroczyć.

Wśród rodzajów pracy niezarobkowej możemy wyróżnić:

- Pracę domową – wykonywaną najczęściej przez kobiety, która pełni niezbędną funkcję reprodukcyjną, tworząc warunki startowe dla poprawnego działania kapitalizmu z jego skupieniem na pracy *stricte* zarobkowej.
- Pracę opiekuńczą – znów stanowiącą w przeważającej części domenę kobiet, bez względu na to, czy mówimy o nieodpłatnej opiece nad niepełnosprawnym dzieckiem lub starzejącymi się rodzicami, czy o pracy zarobkowej w domach opieki lub w hospicjach.

- Pracę wychowawczą – podejmowaną albo w domu przez samych rodziców lub dziadków, albo w formie zinstytucjonalizowanej w żłobkach, przedszkolach *etc.*
- Pracę społeczną – pod tym pojęciem rozumiem szerokie spektrum działań podejmowanych głównie w formie niezarobkowej: zaangażowanie w radę osiedla, aktywność w organizacjach społecznych, wolontariat, lokalne niesformalizowane inicjatywy itd.
- Pracę jako samospełnienie – jako taka powinna być podejmowana przez każdą osobę z powołania, dobrowolnie, dla realizacji swojego unikatowego potencjału jako człowieka. Jej specyfika sprawia, że funkcjonuje na pograniczu klasycznie rozumianej pracy i hobby, ale jednocześnie możliwość jej wykonywania jest fundamentalna dla naszego spełnienia jako ludzi.
- Pracę relacyjną – tutaj wkraczamy w takie rozumienie pracy, które dla wielu będzie mocno kontrowersyjne. Pojęcie pracy relacyjnej wyprowadzam z katolickiej antropologii z jej modelem *homo reciprocans*, istoty relacyjnej, dla której kluczowe w osiągnięciu pełni człowieczeństwa jest budowanie relacji z drugim człowiekiem i Bogiem. Praca relacyjna odbywa się więc pomiędzy małżonkami lub partnerami w związku, między rodzicami a dziećmi, w ramach grup przyjaciół, częściowo także w ramach wskazanej wyżej pracy społecznej. Co ważne, odpowiednik pracy relacyjnej występuje również w myśli lewicowej pod pojęciem pracy emocjonalnej.

Państwo, samorzady, przedsiębiorstwa, związki zawodowe, rady pracownicze – „Solidarność” w swoim programie proponowała stworzenie prawdziwie policentrycznego modelu zarządzania sferą pracy i gospodarki. Także w tym obszarze dzisiaj warunki są oczywiście odmienne, nie żyjemy już w rzeczywistości centralnego planowania, ale sam pomysł „instytucjonalnego multilateralizmu” pozostaje ideą inspirującą.

W ten sposób obok poszerzenia pojęcia pracy o jej wymiary niezarobkowe możemy zaproponować także nowy społeczny ład pracy o charakterze polifonicznym. Musi on uwzględniać zarówno nie zawsze dającą samospełnienie pracę zarobkową, jak i pracę o charakterze niezarobkowym. Tak naprawdę istotą nowego ładu musi być nie tyle sama transformacja pracy, ile uwolnienie ludzkiego czasu, o który toczy się walka od samego początku rewolucji przemysłowej i narodzin systemu kapitalistycznego.

Integralne pojęcie pracy, wykraczające poza paradygmat pracy zarobkowej, oraz maksymalna pula wolnego czasu – to dwa fundamenty nowego społecznego ładu pracy. Gdy szukamy polifonicznych rozwiązań – od tych skupiających się na warunkach pracy zarobkowej, przez jej dostępność, sensowność, związane z nią wynagrodzenie, aż po rozwiązania maksymalizujące naszą osobistą pulę czasu i elastyczność w jej wykorzystywaniu – możemy wskazać dziewięć filarów nowego społecznego ładu pracy:

- Ustawowe skrócenie tygodniowego czasu pracy zarobkowej do czterech dni.
- Rozszerzanie modelu pracy zarobkowej rozliczanej „zadaniowo” zamiast twardego reżimu ośmiodziesiętgodzinnego dnia pracy, tak aby umożliwić pracownikowi większą kontrolę nad własnym czasem.
- Rozszerzanie możliwości „zonglowania” wielkością samego etatu w ramach rodziny, tak aby możliwa była sytuacja, kiedy jeden z małżonków pracuje np. na  $\frac{4}{5}$  etatu, a drugi na  $\frac{3}{5}$  – w zależności od zmieniających się potrzeb.
- Stopniowe wdrażanie modelu edukacji przez całe życie (*lifelong education*), odpowiadającego na postępującą robotyzację pracy oraz rosnącą konieczność częstej zmiany zawodu w ciągu życia.
- Testowanie nowego modelu prac publicznych organizowanych przez samorzady jako prace-dla-dobra-wspólnego, np. lokalne prace na rzecz środowiska dla zwiększenia puli „prac sensownych”, by nawiązać do głośnego pojęcia „pracy bez sensu” Davida Graebera.

- Niższe opodatkowanie pracy kosztem podwyższenia podatków od majątku i kapitału.
- Wzmocnienie kompetencji inspekcji pracy w celu likwidacji różnorodnych patologii na rynku pracy.
- Regularne podwyższanie ustawowej płacy minimalnej i minimalnej stawki godzinowej.
- Prowadzenie przedsiębiorstw niefunkcjonujących wyłącznie dla maksymalizacji zysku, w modelu przedsiębiorstw społecznych – z postulatem „nasywania” kapitalizmu rozwiązaniami zaczerpniętymi z katolickiej nauki społecznej, zmieniającej od wewnątrz logikę systemu.

Istotą propozycji zawartych 40 lat temu w programie „Solidarność” było nadanie maksymalnej **samo-rządności** i podmiotowości pracownikowi w zakresie podejmowanej pracy. Dzisiaj zmianie uległy warunki społeczno-gospodarcze, ale sam postulat postawienia w centrum naszej refleksji człowieka jako *homo faber* pozostał w mocy. Tyle że w celu realizacji solidarnościowych marzeń musimy wypracować nowe narzędzia.

**Piotr Kaszczyszyn** (ur. 1992) – redaktor naczelny portalu opinii Klubu Jagiellońskiego. Były redaktor naczelny czasopisma idei „Pressje”. Współtwórca podcastu „Kultura poświęcona”. Autor artykułów i recenzji kulturalnych, m.in. w tygodniku „Plus Minus” oraz magazynie „Nowe Książki”.

## Prawda i porozumienie

### Leszek Jażdżewski

Z dokumentu *Samorządna Rzeczpospolita* bije poczucie odpowiedzialności. „Solidarność” nie występuje z roszczeniami – ona mówi w imieniu społeczeństwa. Z poczucia autentycznej reprezentacji demokratyczne władze Związku brały wiarę we własną siłę i przekonanie o własnej sprawczości. Tam, gdzie napisane jest „Związek”, czytać powinniśmy: „społeczeństwo”.

Naczelną ideą dokumentu programowego I Zjazdu NSZZ „Solidarność” jest balansowanie na cienkiej linii – jak bez kwestionowania podstaw ustrojowych zmodyfikować i stworzyć autorytarny system na miliony, do niedawna zastraszone i nieaktywne, obywateli PRL-u oraz powalczyć o realną władzę – w samorządach i zakładach pracy, a w przyszłości nawet w Sejmie. Położenie nacisku na samorządność wynikało z konieczności, było pragmatycznym wyborem w obliczu geopolitycznych ograniczeń.

Problem politycznej bierności i braku poczucia wpływu jest oczywiście nieporównywalny z czasami Polski Ludowej, natomiast oderwanie elit politycznych od społeczeństwa, poczucie braku reprezentacji (szczególnie kiedy u władzy znajduje się zniechęcona partia) jest dojmujące również dziś. Rozwiązania *Samorządnej Rzeczypospolitej* mają na celu tę wyrwę przynajmniej częściowo zmniejszyć. I w tym sensie mogą być inspirujące również w zupełnie innych warunkach ustrojowych i gospodarczych.

Równoległe do I Zjazdu postępowały plany siłowej konfrontacji, która zmaterializowała się dwa miesiące później. Partia nie widziała politycznej możliwości ustępstw. Społeczny bunt zderzył się ze ścianą ZOMO-wskich tarcz i ośrodków internowania. Już nigdy później działania opozycyjne nie mogły liczyć na tak szerokie zaangażowanie, szczególnie w tzw. dołach – wśród zwykłych robotników. Sprzeczność, w jaką uwikłana była „Solidarność” – jako organizacja reprezentująca materialne interesy swoich członków, a jednocześnie ruch polityczny, który chciał demokratyzacji ustroju i wpływu na losy kraju – została po 1989 roku rozstrzygnięta. Działacze opozycji znaleźli się po przeciwnej stronie niż wielu dawnych kolegów.

Pęknięcie, wynikające z przyczyn strukturalnych, w ówczesnych warunkach nie do uniknięcia (jeśli „Solidarność” miała formować rząd), jest niezaleconą raną, która nawet dziś przejawia się w oskarżeniach o „zdradę”. *Samorządna Rzeczpospolita* to w zasadzie ostatni moment, kiedy założycielski mit Solidarności – jedności inteligencji i robotników – mógł być jeszcze podtrzymany.

## Edukacja i kultura

Warto zwrócić uwagę na znaczenie, jakie nadaje się w *Samorządnej Rzeczypospolitej* wartościom niematerialnym – kulturze, ochronie środowiska, aktywnemu wypoczynkowi. Mimo że cały system oparty był na dialektycznym materializmie, zawarte w dokumencie postulaty wychodzą poza prosty ekonomizm – płace czy dostępność produktów.

Teza 28: „Celem reform gospodarczych i społecznych musi być nie tylko poprawa warunków materialnych, ale i rozwój kultury i edukacji społeczeństwa. Chcemy nie tylko jeść, ale i żyć w sposób godny i światły”.

Poprawa bytu materialnego i warunków pracy jest po coś. Świadomość robotników oraz ich godne funkcjonowanie jako jednostek i obywateli są równie ważne, co poziom życia. Ta perspektywa była niemal nieobecna po roku 1989, kiedy uznano, że rolą państwa jest dbałość o warunki materialne, a reszta wydarzy się sama. Tymczasem taka redukcja człowieka do *homo oeconomicus* bardzo go zubaża duchowo, intelektualnie i obywatelsko.

Teza 29: „Jedną z najpoważniejszych przyczyn obecnego kryzysu w kulturze i edukacji jest monopol państwowy w tych dziedzinach. Społeczeństwo musi stać się włodarzem własnej kultury i edukacji (...) Trudno o prawdziwy pluralizm, kiedy administracja centralna narzuca strukturę i program. Określeniem polityki kulturalnej i edukacyjnej oraz rozdziałem funduszy na te cele powinny się zajmować autonomiczne organy społeczne odpowiednich szczebli (jak np. Społeczna Komisja Edukacji Narodowej czy Społeczna Rada Kultury) tworzone w sposób akceptowany przez całe społeczeństwo. Administracja powinna pełnić jedynie rolę służebną”.

Są to bardzo dobre i zachowujące aktualność projekty, podobnie jak postulowane powołanie Społecznego Funduszu Kultury Narodowej. Problem w tym, że mogą one zostać zrealizowane tylko przy sprzyjającym rządzie, tymczasem centralizacja jest kluczowa w mentalności obecnej władzy.

Gdyby wspólnie – w warunkach demokratycznych – jakakolwiek organizacja czy ruch społeczny miały siłę, aby przeprowadzić tak dalece zakrojone reformy we wrogim otoczeniu, cieszyłyby się jednocześnie wystarczającym poparciem do tego, żeby zdobyć władzę w wyborach.

Na tym polega paradoks propozycji „Solidarności”. One mają sens przede wszystkim w warunkach podległości. W demokratycznej Polsce w naturalny sposób ciężar zmian przeniósł się na partie polityczne, o wiele bardziej kadrowe niż masowe (szczególnie te wywodzące się z opozycji). Nie było już organizacji, która mogła sobie rościć prawo do społecznej reprezentacji.

Czy względna niezależność nauki w Polsce mogłaby być wzorem dla kultury i edukacji? Czy taki model częściowej niezależności – w dziedzinie zarządzania – byłby do zaakceptowania przez państwo i samorząd? Być może po doświadczeniach ministrów Czarnka i Glińskiego łatwiej będzie rozmawiać o modelu społecznym i zdecentralizowanym, po to aby uchronić – na ile to możliwe – najcenniejsze dobra narodowe, jakimi są kultura i edukacja dzieci, przed wpływami politycznej propagandy.

Odtrutką na narodowe pranie mózgu nie jest zastąpienie go liberalnym, ale wprowadzenie takich rozwiązań, które będą skutecznie umacniały pluralizm, samodzielność i rozwój – a nie jedyną słuszną wizję świata. Takie rozwiązania mogą się cieszyć wystarczającym społecznym poparciem, żeby następne rządy, niezależnie od ich proveniencji, nie zdemontowały popularnego i efektywnego systemu, ale musiały ograniczyć swoje apetyty na meblowanie głów Polakom.

Wyzwolenie odnajdziemy w języku wyrażającym prawdę i otwartym na dialog.

Teza 31: „Groźnym narzędziem kłamstwa jest sam język propagandy, który uszkadza nasz codzienny sposób wyrażania myśli i uczuć. Związek będzie dążył do przywrócenia społeczeństwu polszczyzny, umożliwiającej prawdziwe porozumienie się między ludźmi”.

**Leszek Jażdżewski** (ur. 1982) – inicjator i redaktor naczelny Liberté!, współtwórca Igrzysk Wolności. *Policy Fellow* w European University Institute (2020/2021). *Europe Futures Fellow* Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu (IWM, 2019/2020). Twórca aplikacji Bookme popularyzującej czytanie książek w erze Internetu. Publicysta i komentator m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Polityce”, „Rzeczpospolitej”, TOK FM, TVN24. Członek Rady Programowej EFNI.

## Co dziś może/powinno oznaczać hasło *Samorządnej Rzeczypospolitej*

### Elżbieta Ciżewska-Martyńska

Powracające przy kolejnych rocznicach kamieni milowych ruchu społecznego „Solidarność” więcej niż historyczne zainteresowanie programem *Samorządna Rzeczypospolita* jest dla mnie przedmiotem zarówno nieustającego zdziwienia, jak i pewnej nadziei.

Delegaci I Krajowego Zjazdu NSZZ „Solidarność” projektowali daleko idące reformy, zakładające m.in. stworzenie „nowej struktury organizacyjnej gospodarki” za pomocą powołania „przedsiębiorstw

społecznych”, promujące samorząd i subsydiarność, niezależne sądownictwo, politykę społeczną wzmacniającą małżeństwa i rodziny, ekologiczną wrażliwość, deliberację i konsensualne podejmowanie decyzji, przejrzystość procedur i społeczną kontrolę nad mediami. Reagowali też na bieżące problemy tamtego czasu, takie jak „zaopatrzenie w żywność i opał osób bezbronnych wobec zimy”. Dokument pisano z kilku ideowych perspektyw. Jak deklarowali jego autorzy: „»Solidarność«, określając swe dążenia, czerpie z wartości etyki chrześcijańskiej, z naszej tradycji narodowej oraz z robotniczej i demokratycznej tradycji świata pracy”. Pomimo wielu słusznych pomysłów i spisywania państwowotwórczych zasad autorzy nie uniknęli myślenia życzeniowego, np. kiedy deklarowali: „opowiadamy się za powszechnym prawem do pracy, a przeciw bezrobociu”. Los 37 tez i towarzyszących im aneksów po 1989 roku był różny, pomysły pracowniczego samorządu zostały odłożone na bok, zrealizowano zaś pomysły samorządu terytorialnego. Ale nie to jest przedmiotem mojego zadziwienia.

Paradoksalnie moje zdziwienie budzi sam fakt odwoływania się do tego dokumentu w poszukiwaniu inspiracji do społecznej interwencji, podczas gdy inspiracją powinny być wartości i zasady, jakie „Solidarność” przyjęła, ale sama ich przecież nie stworzyła. Co więcej, lektura *Samorządnej Rzeczypospolitej* – jak mało który tekst – pokazuje polskie polityczne pęknięcie i wybiórczość ludzkiej pamięci. Dlaczego te tezy, a nie inne? Dlaczego te pomysły, a nie inne? Czy wystarczającym powodem jest inny kontekst polityczny i gospodarczy? Posługiwanie się uchwałą programową I KZD NSZZ „Solidarność” jako argumentem w sporach dotyczących polityki społecznej: a to jako dokumentem promującym zwiększenie miejsc w przedszkolach i żłobkach, a to służącym ocenie reform edukacji – często wbrew najlepszym intencjom tych, którzy te argumenty wysuwają – bywa trywializowaniem *Samorządnej Rzeczypospolitej*. W programie wciąż szukamy legitymizacji własnego działania oraz wskazówek na teraz, przypisując mu uniwersalną wartość, której siłą rzeczy – gdy ocenia się go chłodnym, politologicznym okiem – mieć zawsze nie może. A jednak wracamy do niego, czasem z bezzadnością sami siebie pytając: „Dokąd pójdziemy? Przecież stąd jesteśmy”.

Pisząc to, bynajmniej nie podważam ustrojowego zamysłu, jaki zawiera uchwała przyjęta 40 lat temu w Oliwie. Odsyła on jednak poza siebie – powtórzmy – do „wartości etyki chrześcijańskiej, naszej tradycji narodowej oraz robotniczej i demokratycznej tradycji świata pracy”. Tak naprawdę nie czytamy tej uchwały, szukając wskazówek i wiedzy, ale po to, by poczuć się częścią wspólnoty, mieć radość wspólnego działania, kontynuacji wydarzeń, z których możemy być dumni.

I dlatego, myśląc o *Samorządnej Rzeczypospolitej*, myślę tylko o jednym. O gigantycznym, pełnym wzajemnego szacunku wysiłku łączenia tego, co może czasem niespójne intelektualnie, a co jednak się splata w praktyce codzienności. O katalogach wartości, które stały za tym „nowym porozumieniem społecznym”. Istotnie, „pluralizm światopoglądowy, społeczny, polityczny i kulturalny powinien być podstawą demokracji w samorządnej Rzeczypospolitej”. Tę lekcję powinniśmy odrobić na nowo.

Chociaż uważałam, że „Solidarność” nie stała się takim państwowotwórczym mitem, jakim mogła się stać, to jednak przyznaję, że powracające pytania o aktualność jej dorobku świadczą o tym, że pewnym mitem się stała. Mitem w konstruktywnym, bynajmniej nie deprecjonującym sensie, o jakim w 1967 roku pisał Leszek Kołakowski w *Kulturze i fetyszach*: „mit nie opowiada po prostu o wydarzeniu, które miało kiedyś nastąpić w czasie historycznym, by nie powtórzyć się więcej; percepcja mitu nie jest osiągnięciem wiedzy o wydarzeniach, ale uczestnictwem w nich, albowiem mit dzieje się w owym czasie znieruchomiłym, gdzie to, co bezwzględnie jednorazowe, dzieje się ciągle tak samo i powtarza

tak samo, nie tracąc jednorazowości. To, co w mnie się dzieje, dzieje się *zawsze teraz*. Mit nie dostarcza wiadomości, ale odkrywa obszar wartości, w których uczestnik mitu dostępuje udziału”<sup>1</sup>.

I właśnie to, że przychodząc z różnych stron, często stron głęboko skonfliktowanych, wciąż próbujemy odnaleźć siebie w obszarze solidarnościowych wartości, jest dla mnie przesłanką nadziei. Może jeszcze kiedyś napiszemy wspólnie podobny dokument.

**Elżbieta Ciżewska-Martyńska** (ur. 1979) – historyczka idei, doktor socjologii, autorka książki *Filozofia publiczna „Solidarności”* (2010). Pracuje w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Związana z Instytutem Tertio Millennio.

---

<sup>1</sup> L. Kołakowski, *Kultura i fetysze. Eseje*, Warszawa 2000, s. 223.

**Fundacja im. Stefana Batorego**

Sapieżyńska 10a  
00-215 Warszawa  
tel. (48-22) 536 02 00  
fax (48-22) 536 02 20  
batory@batory.org.pl  
www.batory.org.pl

Teksty udostępniane na licencji Creative Commons.  
Uznanie autorstwa na tych samych warunkach  
3.0 Polska (CC BY SA 3.0 PL)



Redakcja: Piotr Kosiewski  
Opracowanie redakcyjne: Izabella Sariusz-Skąpska  
Korekta: Joanna Liczner  
Warszawa 2021  
ISBN 978-83-66544-02-4